

J. POWALSKI.

.. SZTANDARY .. KSIĘCIA JÓZEFA.

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.

6

Dawny jakiś szloch, słabe echo stłumionego już płaczu, wstrząsał jej głosem. Uspokoiła się znow i szeptała:

— Ja wiem, że ja jestem głupia, i ciągle myślę i myślę jak pomódz, i nie wiem. Ale teraz już tak zrobię.

— Co ty zrobisz? I czego płaczesz?

— Mówię ci, że ja wiem wszystko!

Ocierając świeże łzy.

— O wuju? — spytał brat z niejakim wstydem.

— Tak.

Otarła szybko oczy.

— Jak zobaczyłam, że wuj przyjechał, bałam się okropnie. I poszłam do małego pokoju... drzwi były przywarte tylko do tatusinej kancelaryi i słyszałam...

— Czego podsłuchujesz? — rzekł Ignacy karcąco. Do takich spraw nie powinnaś się mieszać.

— Tak? A czy ty pomożesz tatusiowi?

Ignacy szukał w myśli jakiejś cnotliwej zasady, którąby siostrze udowodnić, że to nie jej rzecz, tylko mężczyzn. Ona tymczasem mówiła szeptem:

— Jeśli on odda ten skrypt tatusiowi, to dobrze, ja za niego pójdę.

— Antosiu! — oburzył się Ignacy, do żywego dotknięty. — Ty? Głupia jesteś i koniec. Zresztą tatuś ci nigdy nie pozwoli.

— Ja wiem, że jestem głupia. Ciągle to myślę, bo inaczej, tobym znalazła coś lepszego, a nie mogę. Ja wiem, że tatuś... ale mamunia pozwoli, wiem.

— Nie pozwoli! Za tego lichwiarza! Brudny, grubianin, cham... I prawie zdrajca, jego nic nie obchodzi ojczyzna... I tybyć za takiego...

— Poco ty mi to mówisz? — zapłakała w ciemności. — Myślisz, że mi to łatwiej będzie zrobić? Ja go znam przecież, szkaradnika... Oj Ignasiu, Ignasiu, jak to jakoś wszystko straszno na świecie!

— Ignas! — buchnęło z trzeciego gdzieś pokoju wołanie ojca.

Porwał się i pobiegł, Antosia za nim.

Wpadł do kancelaryi. Ojciec stał przy stole, oburacz na nim wsparty, w pogardzie i dumie. Przed nim plecami do drzwi, wuj Marcin. Dopadłszy ojca, poznał Ignacy zmieszanie i złość jakby wysadzoną ze wszystkich więzów w twarz, skuleni i stęzeniu wuja. Była też matka, bardzo blada, ale spokojna i zacięta. Mówiła kończąc:

— I z tego nigdy nic dobrego nie wszzło, i nigdy nie wyjdzie, tylko ze zgody...

— Wyprowadź pana Krasnickiego! — rozkazał ojciec silnym głosem Ignacemu.

Nim ruszył, całe napięcie wszystkich doznało silnego uderzenia, zawiesiło się na chwilę, by się zająć czem innym.

Antosia weszła cicho do pokoju. Jej twarz zakwitła w źle oświetlonej kancelaryi jak róża niewyraźna, błysnęło złoto płynnymi ogniami na jej głowie. Przypadła do ojca. Nim przemówił słowo, odstąpiła, stanęła przy nim, i powiedziała:

— Tatusiu... Niech on tatusiowi odda skrypt... tatusiu, a ja... pójdę za wuja.

Ojciec patrzył na nią, jakby ją widział pierwszy raz. Potem powiedział cicho:

— Wujdz!

Ona jednak stała, nadzwyczajnie kształtna w dziewczęcej smukłości, zacięta w uporze.

Matka podeszła do niej szybko. Ignacy nie widział, nie zważał na nic. Doszedł wuja, któremu migotały oczy, powolnie ruszające się po całej postaci Antosi. Ujął go nagle i silnie pod rękę. Zaszamotali się krótko. Młodzieniec uczył miękkość i zarazem wściekłość w targaniu się wuja. Ciągnął go w milczeniu aż do sieni, i wyrzucił na ganek. Zatrzasnął drzwi, odsapnął. Wtedy spostrzegł, że przy nim w nadzwyczajnej gorączce skaczą Józio i Staś.

— Doskonale zrobiłeś! Popatrz, czy jabym mógł? Spróbuj się ze mną! — natarczywie prosił go Józio.

W domu było cicho. Wszyscy przywdziali jakby skorupę spokoju i codzienności.

— Jak ja wyjadę? — powtarzał sobie w myśli kapitan.

W głowie kotłowały mu się plany ratunku. Przychodzili mu na myśl to bogaci krewni, to pożyczka nadzwyczajna w Warszawie, to wyzwanie wuja na pojedynek i zabicie go jak psa. Jak osa złapana

w sieć nieustannie brzęczała mu propozycja Antosi. Nie myślał o tem, a myśl ta rozwijała się jakby własną siłą, ropuszczała korzenie, łączyła się z innymi myślami, zadzierzgiwała ogniwa z innymi sprawami, oryentowała się ze wszystkim na wszystkie strony. Krwawe rumieńce zapaliły się na jego twarzy, gdy z oburzeniem dostrzegłszy, odpychał ją, chciał wyrwać, wyrzucić, odgrażał się i szamotał, jak w siodle.

Odszedłszy na noc, siedział w swym pokoju z głową ściśniętą rękami, z łokciami na stole. Świeca paliła się nad nim, łóżko zasłane czekało.

Wśród szumu wiatru na dworze, skrzypnęły drzwi. Przyszedł Józio. Był onieśmielony. Uśmiechnął się, usprawiedliwiając się, że mu przeszkadza, następnie wyłożył mu swoje chęci.

Mianowicie, on nie chce zdawać teraz egzaminu do szkoły aplikacyjnej inżynierii, bo jeśli zda, to go wezmą tam na rok, i cóż to warte? Minie go tylko wielka i prawdziwa wojna, wyprawa z wielką armią. Tymczasem on musi pójść z wielką armią, Ignas to rozumie przecież. Woli być tam byle czem, choćby żołnierzem, niż zostać teraz w Warszawie. A zresztą, przecież może i na oficera go wezmą, skoro Tadzio nie był o wiele starszy od niego, idąc do wojska, a przecież został oficerem.

Mówiąc, Józio roznamietnił się, rozżarzył. Oczy mu pociemniały, rumieńce wybiły na śliczną twarz, napoty dzieciinną. Srogi, mars, zapal i powaga, ujęły Ignacego. Przrzekł bratu poparcie u ojca.

Gdy Józio wyszedł, pochłonięły go znów poprzednie myśli.

Godziny nocne płynęły.

Nagle ocknął się na jakiś ruch w domu. Nasłuchiwał: była to jakaś krzątanina, stłumione rozmowy. Wstał cicho, tłumiąc kroki skradał się ku stołowemu pokojowi. Żółte światło sączyło się przez drzwi. Otworzył je po chwili. Zastał matkę, starą ciocię rezydentkę, Antosię. Na stole paliły się świece. Wielkie skrzynie były otwarte. Matka i ciotka wyjmowały coś, składały na przysuniętych krzesłach, i pakowały w walizy. Antosia pomagała, jakby nieobecna.

Wszystkie zatrzymały się w pół ruchu, gdy wszedł, i obróciły trwożnie głowy ku drzwiom. Poznawszy go powróciły do swej roboty, prócz matki, która przyciszonym głosem powiedziała z niezadowolaniem:

— Poco tu przychodzisz? Idź i śpij, nie tu dla ciebie niema do roboty.

Stanął zmieszany. Ale już matka pożałowała ostrych słów, odezwał się w niej zwykły strach zabobny, że nuż ten syn do domu już nie wróci z wojny, że go nie ujrzy więcej. Obawa ta trzymała ją w szponach od czasu wstąpienia do wojska najstarszego syna. Utworzył się w jej duszy skomplikowany system zabobnów, do których sama się nie przyznawała. Rozrósł się on jeszcze po oddaniu i drugiego syna do wojska. Teraz, sięgając wzrokiem w przyszłość, już i na głowę Józia zbierała przepowiednie z przeczuć i przesądów. Tylko trwogę o Stasia obliczała sobie na lata dopiero dwudzieste lub trzydzieste bieżącego stulecia, i spodziewała się, że do tego czasu już umrze, i męczarnia przeczuć i niepokoju skończy się w grobie.

— Jutro wyjeżdżam, — rzekła łagodniej, — do ciotki Krasnickiej, więc muszę to i owo przygotować przed drogą.

— Jutro? — zdziwił się syn, który nic o tem nie słyszał z wieczora.

— Tak, jutro. — Zawahawszy się na chwilę, dodała:

— Z Antosią.

W tonie jej głosu uderzyło go coś. Gdy spojrzał bacznie, ujrzał surowość przelotną, lub ukryte zmieszanie na jej twarzy.

— Na długo mama jedzie?

— Na parę dni. Ale chciałam ci jeszcze powiedzieć, żeś niegodnie sobie postąpił z wujem Marcinem. Ty, jego siostrzeniec, i wojskowy, oficer!

— Ubiłżał tatusiowi, proszę mamy, — zaprotestował Ignacy.

— Nie twoja rzecz mieszać się w sprawy starszych krewnych i rodziców.

— On o Antosię... — zaczął Ignacy.

— Nie odpowiadaj matce! — przerwała mu ostro. — To nasza rzecz, a nie twoja, kto się o Antosię stara. Że sądzisz wuja Marcina. Ta cała nawiść do niego już tak mi dogryzła, że doprawdy sił nie staje. Zawsze był nielubiany wszędzie, to go zrobiło twardym. Ale ja najlepiej wiem, jakiego on był zawsze dla mnie i dla rodziny serca.

Ignacy wybornie czuł, że matka przez niego skierowuje te słowa do ojca.

— Że on najlepiej nam życzy i tylko dla naszego dobra ojcu radzi, z tego brać dowód można,

ż o Antosi rękę prosił, największe ustępstwa czyniąc. Czegóż tu się oburzać? Co w tem złego? Czy nie człowiek, jak inni?

Świece płonęły ciągle złotem światłem. W tej nocnej ciszy, jednostajne słowa matki, prawione zmęczonym głosem, zlewały się z tem światłem niepewności i z cichą pracą kobiet w jakiejś jakby widziadła, w jakieś dzianie się nie na jawie. Ignacemu zasychały usta, piekła go głowa. Senność rozproszona natężonymi myślami wracała mu, i niektóre miejsca ze słów matki roztopiały się w niej lub zmieniały bez sensu. Czuł tylko wyraźny upór przeciw jej słowom, pozbył się poprzedniego swego, tajemnego dopuszczenia do rozważki planu Antosi. Z ulgą czuł, że już go nie może zrozumieć, że znów stał się on dla niego dzikim, obcym, potwornym.

Matka tymczasem cichym a rozdrażnionym głosem mówiła dając:

— Tak, tak, łatwo to być słusznym, i mądrym, i wybornym człowiekiem, niczego nie tykając, tylko filozofując nad światem. Ale takie mieć długie, jak przecież na Krasniku były, i wyjść z nich, i jeszcze wszystkiego przysporzyć swoją głową, to także coś warte. A że to ludzi w oczy kole, to zawsze tak bywało. Ja wiem to tylko, że wuj Marcin jaki jest, to jest, może nie wychuchany, może nie delikatny, ale serca zawsze był dobrego, a to najwięcej znaczy. Żeby się był wcześniej ożenił, to byłby i on inny. A ile jest gorszych, pijaków, rozpustnych, nieludzkich? Ale to zawsze na niego...

Pani Kleszewska rozżalała się coraz bardziej. Trzymała ona wiele o swym rodzie, i bardzo była przywiązana do nazwiska Krasnickich, do ich gniazda rodzowego, Krasnika, odległego o parę mądrych mil od Surzalców. Ostatni z rodu był jej brat przyrodni, Marcin. Razem z nim wychowana, przywykła całą swą miłość rodową i nadzieję skupiać na nim. Wszystko mu darowywała, na wszystko zamykała oczy, gdy szło o niego: i na niejasne interesa, z których ciągnął zyski, i na trudną jego niefrasobliwość w zewnętrzym wyglądzie i życiu, i na prostotę cyniczną w tłumaczeniu i wyjawianiu pobudek działania swoich i cudzych. Radowała się, że ugruntował majątek Krasnickich, oburzała się, że ludzkie języki szarpiały imię Krasnickich, z całej duszy pragnęła, by brat jej ożenił się i nie dał wygasnąć nazwisku Krasnickich. Wszystko obracało się koło tego.

— Ale poco, proszę mamy, wuj konkuruje o Antosię? — rzekł Ignacy, gdy umilkła. — Przecież i wiek już ma, i krewny jest, i niestosowny. I jeszcze skrypt ofiaruje, jakby to był handel. A właśnie! No, ale zobacz!

Zaczął mówić spokojnie, a skończył groźnie. Matkę nadspodziewanie to dotknęło:

— Cicho! — zawołała prawie donośnie, blada, wyprostowując się od pakowania. — Ani słowa! Nie z mrzonek głupich się żyje, nie twojej rady pyta! A, miałam ja dosyć całe życie troski i niepokoju o dzieci, a teraz co?

Wyszła szybko, zakrywając twarz. Antosia, która pakowała walizę z uwagą i pilnością, blada, z ciemnymi sińcami pod oczyma, nie się nie odzywając i jakby nie słysząc rozmowy, wstała i poszła za nią bez pośpiechu. Ignacy niezadowolony i gniewny bebnął palcami zaciekle w jakąś położoną na stole bieliznę. Nie wydawało to żadnego niepożądanego hałasu, a sprawiało mu satysfakcję.

Stara krewna rezydentka, w staroświeckim czepek i wypłowiałej, faldzystej szacie, poruszała się dalej, cicho jak duch. Jej potworny cień rzucał się po ścianach i meblach. Nieśmiało sięgnęła po bieliznę zajętą przez palce Ignacego. Gdy ją ruszyła, coś szepnąwszy, młodzieniec ocknął się i spojrzał na staruszkę roztargniony. Spotkał wybladłe, stare oczy utkwione w siebie, twarz obeszłą, jakby tylko gładka, złota skóra była naciągnięta na kości i gdzieś niedługo drobno sfaldowana od naciągnięcia. Wargi prawie znikły, bezzębne usta zacisnęły się jakby w upartej chęci milczenia.

— Ignas ma rację, — zaszepleniła szeptem, — to niesłychane rzeczy, żeby taki kwiatułek... Tożby ją lepiej dali za Pana Bielskiego, co jest młodzieniec wyborny, czystych obyczajów i uczony, a Antosi miły...

— Co? — spytał Ignacy zdziwiony.

— At, at, ja stara pewnie już głupstwo rzekłam! — trzępiąc obydwojma rękami wyschłymi jak zajęcze łapki, broniła się rezydentka. — Ona sama tego nie wie, kochanie, stokratka biała... Ale ja to widzę, choć na oczy słaba i głucha. Och, ciężkież to życie! Ignasiu, proszę nie powtarzać, tożby było!

— Co się cioci zdaje! — rzekł Ignacy lekceważąco i niechętnie.

— Ignasiu, nie powinna Antosia pójść za pana Marcina. Ona sama nie wie... Skądżeby? Liliłka!... Mówiła mi ciągle: ja pójdę za niego, ciociu, ja ta-